

665

BOŻENA WINNICKA

# DEZODORANT

**N**ajpierw były fajerwerki. „Panopticum à la Madame Tis-saud” i „Koniec Europy”, autorskie widowiska Janusza Wiśniewskiego, obydwa zrealizowane w poznańskim Teatrze Nowym Izabelli Cywińskiej, z tymi samymi współtwórcami: kompozytorem Jerzym Satanowskim, autorką kostiumów Ireną Biegańską i choreografem Emilem Wesołowskim. Wzbudziły niebawem zachwyt i niespotykany u nas entuzjazm recenzentów. Nie wszystkich, to prawda, ale wystarczyło. Były i są nadal opisywane, analizowane, filmowane i nagradzane. Nie tylko w Polsce, za granicą też.

do nieustannego potwierdzania, nie siebie, lecz tej swojej legendy, w chęci wyskokoczenia wyżej, tworzenia coraz lepiej, pełniej.

„I oto, po latach, czwarte widowisko Janusza Wiśniewskiego. Znow w Teatrze Nowym, z Satanowskim, Biegańską, Wesołowskim. „Modlitwa chorego przed nocą”. Ten nieco pretensjonalny tytuł pochodzi, jak czytamy w programie, z „Modlitewnika dla osób starszych, samotnych i cierpiących” ks. dr. Stefana Prusia, salezjanina.

Sceną, jak zwykle u Wiśniewskiego. Czarne pudełko bez jednej ściany. Wejścia z boków, z tyłu. Zapalają się

Parenti „Sacrum Commercium”, Grzegorz z Nyssy, William Szekspir „Jak wam się podoba”, Bruno Schulz „Traktat o manekinach”, Bolesław Leśmian „Panna Anna”, Carlo Collodi „Pinochio”. Teksty są mówione i śpiewane. Raczej operowo, nie kabaretowo. Przede wszystkim zaś jest muzyka Satanowskiego. Natrętnie głośna, obcesyjna, wybucha nagle i to ona właściwie organizuje rytm i tempo przedstawienia.

Zaczyna się ta „Modlitwa” jak „Koniec Europy”. Obrazkiem. Nieruchomy zespół na scenie, ustawiony malowniczo, z inwencją. Niektórzy mają deformujące kostiumy, malowane twarze. Ludzie, zwierzęta, zwierzęto-ludzie. Osobniki różnych gatunków. Osły, psy, świnię, śmierć oczywiście, człowiek z walizką, Żydzi, lalka-olbrzymka i karmazyn, dziewczyna w czarnych sukienkach i panowie w ciemnych ubrankach, jakiś poeta, dziewczyna w białej, ktoś owinięty w białe bandażę niczym mumia lub pogorzelec. Ludzka menażeria. Są też oczywiście kukły. Wielkie nadmarionety i udające ludzi. Obraz jest wymowny i rzeczywiście efektowny. Od razu też wywołuje na widowni gromkie brawa.

W „Końcu Europy” początkowy obraz przypominał fotografię. Ożywał, grupy się mieszały, łączyły w sekwencje, wątki, nakładające się, powracające. W „Modlitwie” obrazek też się rozsypuje. Po scenie przesuwają się te osobniki, galopują grupy, mają swoje epizody, solówki powtarzające się kilkakrotnie, w takim samym lub nieco innym układzie. O ile jednak w poprzednich przedstawieniach Wiśniewskiego można było wytropić pewien mglisty, ba mglisty, ale zarys kompozycyjny, tworzący bezładną ale przecież jakąś konstrukcję, o tyle w „Modlitwie” panuje już tylko chaotyczny bezład.

Jest taka popularna, dziecinna zabawka, zwana puzzle. Otwieramy pudełko i mamy widoczek. Potem mieszamy te wszystkie nieregularnie powycinane kartoniki i znow składamy troskliwie, aby otrzymać fragment, który coś pokazuje, znaczy, wywołuje skojarzenia. Kawałeczki puzzli można zacząć łączyć z każdej strony. Albo od środka. Efekt będzie ten sam. Tak samo w „Modlitwie” Wiśniewskiego. Można tu śmiało poprzestawiać poszczególne epizody i zapewne nikt nie zauważyłby różnicy. Może z wyjątkiem autora, choć i to mocno wątpliwe. Jakby ich twórca w pełnej bezradności nie bardzo wiedział, co wła-

ściwie dalej począć z tymi poczętymi kawałkami.

Owszem, fragmenty tych obrazków wywołują skojarzenia. To oczywiste. Nie wiem, jak odbierać je może ktoś, kto nie widział poprzednich przedstawień Wiśniewskiego. Przypisać muszę, wszystkie te osobniki, znaki, plastyczne elementy i pomysły kojarzą mi się już tylko i wyłącznie z... Wiśniewskim. Jakby cytował samego siebie. Z upodobaniem. A może z rozpaczą. Tak więc zamiast prowokacyjnego zonglowania konwencjami, stylami, znakami zapożyczonymi skąd się da, są tu tylko odpryski własnych, dawnych pomysłów, które zresztą tylko bardzo naiwni mogli niegdyś uznać za oryginalne. Na domiar złego tworzą one bałagan, czyli czysty teatralny bełkot. Z trudem przedziera się przez to wszystko myśl. Może nie myśl, a stwierdzenie. Oto otwiera się przed światem nadzieja. Zagoniona, zabiegana ludzka menażeria znajdzie, być może, odpoczynek i ukojenie w uczuciach najprostszyc. W miłości. Rodzicielskiej, ojcowskiej, a także w symbolicznej ucieczce do białej, czystej postaci, nazwanej w programie Nasza Matka.

No cóż, teatr nie musi podobno przekazywać myśli. Ani mądrych, ani nawet całkiem oczywistych. Wystarczy, że będzie efektowny, huczający,

szokujący i głośny. Niestety, „Modlitwa chorego przed nocą” wydaje się ogromnie nużąca, mimo że trwa około czterdziestu minut. Jest bowiem tworem wyobraźni wysiłonej. Wszystkim aktorom, choć trudno ich rozpoznać, należą się wyrazy szacunku i podziwu. Za dyscyplinę, poświęcenie i szczerą umiłowanie sztuki teatru.

Pisząc kiedyś o poprzednich przedstawieniach Wiśniewskiego („ZL” nr 11/1984) określiłam jego teatr jako gigantyczny pulweryzator, z którego tryskają pomysły i cytaty, układające się w wykrzywiony szyderczo, zdeformowany wizerunek świata. Minęły trzy lata i oto zaczepny, prowokacyjny, szyderczy grymas wygładził się w rozczulającą zancą, dobrotliwą miłą. Pomysłowość wyczerpała się. Pulweryzator zamienił się w dezodorant. Zużyty. Szumi, nawet pachnie, ale już nie pryska.

Trudno, naprawdę trudno wygrzebać się spod własnej sławy, nie dać się przywalić pochlebstwami entuzjastów, którzy wycofają się rakiem z własnych zachwyty, zanim jeszcze zdążą położyć ich dawne recenzje. Być może Wiśniewskiemu uda się wytrzymać to ciśnienie. Miejmy nadzieję.

BOŻENA WINNICKA



„Modlitwa chorego przed nocą” Janusza Wiśniewskiego w Teatrze Nowym w Poznaniu.

Z umiesieniem i egzaltacją pisano o „laserowej wyobraźni” Wiśniewskiego, że wreszcie objawił się artysta tworzący teatr „compactowy”, a więc prawdziwie nowoczesny, wyprzedzający swój czas. Teatr XXI wieku. Sławę potwierdziły sukcesy światowe. Potem było przedstawienie „Walka Karnawału z Postem” w warszawskim Teatrze Współczesnym. Mniej sławne, ale nadal uporczywie chwalone. Potem były trzy lata milczenia. Nie dziwię się Wiśniewskiemu. Nietrudno wykreować geniusza. No, powiedzmy talent. Zajęcie to beztrudno łatwe, bezkarne, nawet efektowne. Trudno dźwigać potem garb własnej sławy. Zmuszać się

kolorowe światła naokoło rampy. Jak w „Panopticum”, jak w „Końcu Europy”. Ale ich funkcja jest inna. Jest to znak, odwołanie, dykt. Z siebie. Tak jak szafa. Przedtem była symbolem, obojętne, oryginalnym czy zapożyczonym. Teraz tylko stoi. Jest jeszcze krzesło, wózek i dziwny mebel, na którym można usiąść. Można też pod niego włożyć nocnik. Duży, biały, emaliowany.

Tym razem tekstu jest dużo. Jak na Wiśniewskiego nawet bardzo dużo. W programie wymieniono autorów, więc zacytuję dla informacji i porządku. Teresa Wielka „Dzieła”, „Księga Nathuma”, „Księga Psalmów”, Bł. Brat